

## POWIAT GÓROWSKI – EWAKUACJA 1945

Przedstawiamy rozdział z książki Rolfa O. Beckera „Niederschlesien 1945: Die Flucht – Die Besetzung” poświęcony powiatowi górowskiemu, udostępniony nam przez panią Elżbietę Poprawską z Biblioteki Publicznej w Wąsoszu. Tytuł artykułu pochodzi od Redakcji. *MŻ*

22 stycznia ze wschodu, z okolic Rawicza, w kierunku Odry wdzierały się na teren powiatu górowskiego sowieckie oddziały pancerne z towarzyszącą im piechotą zmotoryzowaną. Pojedyncze czołgi jechały przodem badając teren, ale zaraz wracały do głównej formacji. Ponieważ nie było żadnych wartych wspomnienia sił Wehrmachtu, zdobywcy napotykali tylko na znikomą opór. Niedostatecznie przeszkolone i słabo uzbrojone jednostki Volksturm pojawiały się tylko miejscami i były ścierane w perzynę przez sowieckie czołgi. Już 23 stycznia oddziały sowieckie docierają na drugi brzeg Odry koło Chobieni! Inne rosyjskie oddziały wdzierają się z kierunków północ i północny zachód na teren powiatu i do 25 stycznia całkowicie go zajmują. Wiele zniszczeń w poszczególnych miejscowościach powiatu górowskiego, który w roku 1939 liczył przy 110 gminach<sup>1</sup> 39800 mieszkańców, nie dotyczy pierwszych potyczek, lecz bardziej walk przełomowych niemieckiej grupy bojowej, która próbowała, odcięta od pozostałych, wywalczyć sobie drogę na zachód.

„Kto wątpi w ostateczne zwycięstwo, ten jest największym zdrajcą!” Takie hasło widnieje na lokomotywach i na czerwonych plakatach, to samo słychać z głośników także w radiu i w kinach. Dla takich zdrajców istniała wówczas, na początku 1945 roku w Wielkiej Rzeszy, tylko jedna kara: Śmierć!

Kto więc nie wierzy w zwycięstwo, gdzie dookoła nie ma już w co wierzyć jak tylko się załamać, ten również jest zdrajcą.

To dotyczy też powiatu górowskiego, gdzie Hellmuth von Lekow musiał dla powodzenia „Przedsięwzięcia Barthold”<sup>2</sup> przemocować trzech najwyższych stopniem miejscowych przywódców. Gdy 20 stycznia ludzie z majątku stają się niespokojni zaczynają się pakować, zadaje pytanie najstarszemu rangą przywódcy politycznemu, czy Rosjanie nadchodzą, bo chłopcy we wsi już zaczynają się pakować. Odpowiedź brzmi: „Wykluczone, żeby tu kiedykolwiek pojawił się wróg. Gdy ktoś będzie chciał doprowadzić konie do wściekłości, tego sam osobiście zastrzelę!”.

„Jednak tej samej nocy – jak informuje nas Hellmuth von Lekow – puka ktoś do moich drzwi mówiąc: Za trzy godziny trzeba wszystko ewakuować, a ludzie mają zniknąć!”

Ludzie wyobrażali sobie zwycięstwo czy koniec wojny zapewne inaczej niż jako na prędko i pochopnie podejmowaną decyzję o ucieczce. A teraz ciężko jest pozbyć się tego wyobrażenia w sekundę, tym bardziej że właśnie wrzuciło się na szybkiego jedną koszulę do walizki. Jednak tak szybko trzeba właśnie było działać na terenach nad Odrą, która jeszcze 2 tygodnie temu znajdowała się z dala od wojennej zawieruchy, a teraz stała się terenem frontu. A do tego pojawiają się jeszcze wyraźne żądania funkcjonariuszy partyjnych, żeby się śpieszyć, a nie zastanawiać jak ucieczka i wymagana przez państwo wiara w zwycięstwo do siebie pasują.

Gdy nadchodzi rozkaz dotyczący ewakuacji, wówczas też pojawia się groźba:

„Kto nie pójdzie z nami, ten dom zostanie podpalony” lub:

„Kto pozostaje, ten zostanie rozstrzelany jako sabotażysta!”

„Kto wątpi w zwycięstwo, ten zostanie rozstrzelany.”

„Kto wierzy [w zwycięstwo] ale pozostanie – ten też [zostanie rozstrzelany].”

Jednakże już 14 stycznia w Sądowlu Ortsgruppenleiter<sup>3</sup> tłumaczy mężowi Hanny Butzun, który jest zarządcą majątku, w związku z ćwiczeniami Volkssturmu, że należy liczyć się z koniecznością ewakuacji.

21 stycznia nadchodzi ten dzień. Kierownictwo powiatu zarządza ostatecznie dla matek z dziećmi i ludzi starszych ewakuację w powozach konnych.

„22 stycznia rano, ok. godz. 3:00 dzwoni mój mąż, który przebywał jeszcze w okolicy Wąsosza, i nalega na natychmiastowe wyruszenie, bo koło Rawicza (15 km stąd) przebiły się już rosyjskie czołgi. Ponieważ wszystko na taką chwilę mieliśmy przygotowane, całe kolumny ciągników z przyczepami oraz to, co było w zaprzęgach, już o 5:00 było gotowe do drogi. Ale w tym momencie zjawiał się nagle Ortsgruppenleiter i z pistoletem w dłoni zabronił nam się ruszać. Wszyscy ludzie z tej miejscowości mieli się zebrać i odjechać wspólnie pociągiem. Dopiero ok. 10 udało mi się nakłonić kierowcę ciągnika i wyruszyć wbrew rozkazowi.”

Pięć straconych godzin i to 15 km od sowieckich czołgów, które raczej w miejscu nie stały...

Tak jak powiaty Wschowa i Milicz, tak też powiat Góra leży bezpośrednio przy dawnej granicy Rzeszy. I tak jak powiaty sąsiednie tak też on leży na linii uderzenia wielkiej rosyjskiej ofensywy, która miała zakończyć tą wojnę. W tym momencie liczą się już sekundy. Przy impiecie sowieckiego ataku nie ma mowy o kwestii kilku dni. Być może nie ma już miejsca na myślenie czy też wspomnianie, jak to było wcześniej, w roku 1939 albo jeszcze wcześniej.

Burmistrz Wąsosza Bruno Schmidt przypomina w swoich wspominkach tę sytuację w następujących słowach: „Wąsosz był miastem granicznym z Polską. Już pod koniec sierpnia 1939 roku miały miejsce pierwsze walki o ochronę granic z rannymi i ofiarami po naszej stronie. Walki trwały jeszcze kilka dni, potem mieliśmy już spokój. Aż do roku 1944...”

Jest to tylko pozorna cisza, przygrywka, zanim orkiestra zagra finał. Niektórzy o tym wiedzą, inni się spodziewają, ale mimo to wszyscy mają nadzieję.

Bruno Schmidt pisze dalej: „Zgubne przedsięwzięcie Barthold zaczęło się 4 sierpnia 1944 r. i narzuciło nam niesamowity ciężar. Wąsosz funkcjonował – jak już wówczas w trakcie wojny siedmioletniej – znowu jako wysunięta placówka dzięki swojemu położeniu między Orlą, a Baryczą jako przyczółek przed Odrą! Każdy rozsądny człowiek musiał wkrótce sobie uzmysłwić, że barykadowanie się i chowanie głowy w piasek przed czy za miastem w nowoczesnej wojnie jest bezsensowne, lecz tu rządziła partia [NSDAP]. Aż do niedzieli 20 stycznia, gdy zarząd powiatu oficjalnie poinformował, że nie istnieje żadne niebezpieczeństwo, jednak w nocy o 0:30 zarządzono, że o 2 nad ranem miasto trzeba natychmiast opuścić...”

Bardzo podobnie wyglądał los Góry, miasta powiatowego, w którym Karl Biedermann spędził ostatnie dni, po tym jak wskazano na możliwość ewakuacji, ale z naciskiem podkreślano, że jest ona krótkoterminowa i nad Odrą się skończy:

„... W głośnikach po południu 20 stycznia ogłoszono nagle komunikat, że kobiety, dzieci i ludzie starsi mają natomiast opuścić miasto, natomiast zdolni do obrony mężczyźni mają obowiązek w ramach Volkssturmu bronić ojczyzny. W poniedziałek jednak odjechał ostatni pociąg kolei Rzeszy w kierunku Głogowa. Składał się głównie z niezadaszonych wagonów towarowych. Mimo zimna od minus 10° do minus 12° wszystkie wagony były przeładowane...”

W wagonach jedziemy już 12, a może i więcej godzin i prawdopodobnie w tych niezadaszonych wagonach ciasnota jest ratunkiem dla tych ludzi, w każdym bądź razie dla większości. Prawie wszyscy nabawili się odmrożeń, ponieważ płaszcze zimowe po pięciu wojennych latach zrobiły się cienkie, a futer i krytych wagonów w mieście nie było. Ale gęsto ściśnięci ludzie grzali się od siebie, co zapobiegało przynajmniej poważnym odmrożeniom. Oni próbowali za każdym razem się oddzielić.

Uczą się cierpieć w tych mroźnych godzinach. Milcząco, zawzięcie, pełni rezygnacji, wyczerpani, a mimo tego wytrzymali. Cierpią, ale starają się przetrzymać. Wszędzie, czy to w niezadaszonych wagonach, w niewielu ciężarówkach, na przyczepach ciągników czy idąc pieszo po oblodzonych drogach. Godzina za godziną, kilometr za kilometrem, dzień za dniem, noc za nocą.”

Burmistrz Schmidt oglądał ewakuację wspólnie z pozostałymi mieszkańcami: „Gołoledź, zawieje śnieżne i ciężki mróz zrobiły swoje. Przed opisywaniem ludzi i ich nędzy wzbrania się pióro...” A później przed dotarciem do Odry pisze dalej: „...było to straszne. Ludzie i zwierzęta umierali, rzucono ich po prostu do rowów przydrożnych, ponieważ przy tak ostrym mrozie samo grzebanie było niemożliwe. Pojazdy, które ześlizgiwały się do rowów, musiały tam pozostać, bo przy tym chaosie nie było mowy o jakiegokolwiek pomocy...”

Rzeka Odra – życiodajna siła Śląska – okazuje się być zgubą dla uciekających. Niewielka ilość mostów, przeładowane promy, kilometrowe korki, a pomiędzy jeszcze wojska Wehrmachtu, które mają pierwszeństwo – po prostu piekło! Kolumny pieszych rozrywają się, członkowie rodzin gubią się odnajdując się dopiero po latach. Kto przeprowił się przez Odrę, może odetchnąć z ulgą, bo dalej na zachodzie jest już bezpiecznie. Oni w to wierzą, gdy wyruszają z Bogucina do przeznaczonego dla mieszkańców Góry powiatu Lubin po drugiej stronie Odry. Ale Bruno Schulz, który też jest przy tym obecny zezna później: „Gdy przybyliśmy do Szklar w powiecie Lubin<sup>4</sup>, Rosjanie przedarli się już przez Odrę i zajęli przed naszym przybyciem miasto powiatowe Lubin!”

Pani Lisa Strohmann przybyła ze swoją kolumną z Lipowca, dzielnicy Szaszorowic, na prom w Chobieni: „Tam już tłoczyły się kolumny ludzi, którzy przyjechali ze wschodu, z okręgu nad Wartą! Wieczorem trzeba było kobiety i dzieci zabrać promem na drugi brzeg Odry, a mężczyźni pozostawali z powozami na wschodnim brzegu. Tego samego wieczoru pojawiły się już pierwsze czołgi ze szpicy Sowietów na wschodnim brzegu i strzelali do ewakuowanych”.

W tym miejscu wiele kolumn pieszych traciło przewagę, która zyskali dzięki często nieprzygotowanej, pochopnej ucieczce z rodzinnych miejscowości. Dla większości wystarczyło, gdy nie padli ofiarą zgubnych błędów i nie zostali w przejściowym mieście do rozpoczęcia drugiej fazy sowieckiej ofensywy, lecz mogli jechać dalej w kierunku Saksonii czy częściowo do Bawarii.

Jechać dalej – to brzmi tak łatwo, tak prosto. Ale wówczas, mroźnej zimy, w zamieciach śnieżnych, a później na skutek nagłej odwilży jechanie dalej w błocie wymagało od ludzi i zwierząt kresu ich wytrzymałości, a czasami nawet więcej niż mogli od siebie dać.

\*

Maria Eleonore Bierling powierzyła wówczas pamiętnikowi – pisząc tylko hasłami – swoją drogę przez mękę z Wodnik, ale tak wiele ukrywa się między tymi krótkimi słowami: „Piątek, 19 stycznia: Wiadomość od burmistrza Wenglera – Spakować tylko najważniejsze

papiery i dokumenty, przygotować prowiant dla ludzi i koni oraz co najważniejsze ubranie dla ewentualnej kolumny pieszej”

Sobota, 20 stycznia: Rozkaz wymarszu wieczór 22:00. Czas wymarszu na moją prośbę został wydłużony do poranka, bo we wsi nie było żadnych młodych mężczyzn, tylko kobiety, dzieci i starcy. Wszyscy właściciele wozów musieli zabrać ze sobą te rodziny, które nie posiadały zaprzęgów konnych. Dzieci i starcy jechali na wozie, silniejsi szli pieszo. Dla koni trzeba było załadować paszy na 6 dni. Z bagażu wolno było wziąć tylko to co najpotrzebniejsze.

Niedziela, 21 stycznia: Wymarsz o 6 rano. Było jeszcze bardzo ciemno, bardzo zimno i wszędzie mnóstwo śniegu. Wszyscy mieliśmy ze sobą tylko małe wózki skrzynkowe bez przykrycia, niewiele było krytych, również było kilka starych powozów...

Na moim powozie siedziała rodzina Kapernigk, ewakuowana z Berlina, składająca się z ciężko rannego w czasie wojny chorego mężczyzny, kobiety i trojga chorych dzieci: pani Schulz, również ewakuowana z Berlina i jej pięcioletnie córka Jutta; 71-letnia ciężko chora na raka matka mojego zięcia, pani Clara Gronwald, uciekiniarka z Tilsit, moi wnukowie Wilfried i Dieter Gronwald, sieroty z Angerapp (Prusy Wschodnie) i ja. Stary Anton Hedrich, który pracował u mnie, zabrał się z nami jako woźnica i koniuszy.

W południe o 15:00 przyjazd do Wińska - krótki postój. Konie dostają trochę siana.

Północ – przeprawa przez Odrę w Ścinawie, trwa kilka godzin, ponieważ przez most jadą kolumny szerokie na trzy wozy, a most strasznie się kołysze. Na drugim brzegu powstał okropny korek spowodowany wieloma wozami jadącymi w wąskich uliczkach – do tego silna burza, zawieja śnieżna, mgła. Rosyjskie lotnictwo nad nami. Docieramy jako jedna z ostatnich kolumn.

O 3 w nocy przyjazd do Tymowa. Konie są, o ile to możliwe, umieszczane w stodołach. Reszta zostaje na wozach. Ludzie na słomie w gospodzie. Wszędzie mnóstwo śniegu.

Poniedziałek, 22 stycznia: Odjazd o 8 rano. Ciężki mróz. Ulice częściowo oblodzone. Wieczorem o 23:00 przyjazd do Toszowic. Wozy zostają na placu, konie i ludzi rozlokowano po wsi. My trafiliśmy do niejakiej pani May, żony robotnika, która przejęła nas z wielką uprzejmością i dobrocią i zaopiekowała się nami. Powiedziano nam, że zostaniemy tu rzekomo miesiąc, a później wrócimy z powrotem do ojczyzny.

Wtorek, 23 stycznia: Wszyscy próbujemy znaleźć jakieś gwoździe, listwy i deski, robimy stelaże, na których umieszczamy koce i futra, żeby zadaszyc wozy, ponieważ w przeciwnym razie musimy wyciągać ze śniegu nasze dzieci i starców.

Po jedzeniu przyjeżdża Otto Riediger i kilku innych chłopów, którzy byli w Volkssturmie. Mówią, że Rosjanie i Polacy z obozów pracy zaraz po naszym wyjeździe splądrowali wieś i że przyjechało rosyjskie wojsko, a leśniczy Joppich z Załęcza został rozstrzelany w niedzielę na jednym z punktów kontrolnych.

Popołudniu przyjeżdża mój mąż z synem, są przejazdem w drodze do Legnicy, od trzech dni w drodze z Rawicza i są bardzo zmęczeni. Zatrzymują się na noc.

Środa, 24 stycznia: Ludzie i zwierzęta odpoczywają. Naczynia i wozy są naprawiane, konie podkuwane. Mój mąż i syn odjeżdżają.

Czwartek, 25 stycznia: List z Legnicy. Straszny ścisk.

Piątek, 26 stycznia: Zbliżają się Rosjanie. Już nocą słyhać było odgłosy dział. Strzały docierają aż do skraj wsi. Pośpieszny wymarsz ok. 16:00. Cała wieś zabiera się z nami.

Przybycie o 3 w nocy do Polkowic. Koniom zostają założone szory i przykrywa się je kocami. Dzieci, starcy i słabe kobiety trafiają do dawnej szkoły, pozostali zostają na wozach. Pani Gronwald dostaje udaru mózgu. Po długich poszukiwaniach znajdujemy lekarkę. Chora dostanie zastrzyk. Bardzo cierpi.

Sobota, 27 stycznia: Wszystko w rozsypce. Rosjanie przedzierają się. Co chwila słychać odgłosy dział. Handlowcy sprzedają wszystko, co możliwe. Wreszcie też pożywienie. Do tej pory było ciężko dostać nawet jeden chleb. Rzadko mieliśmy w żołądku coś ciepłego.

Wymarsz o 8:00, przybycie o 22:00 do Haidau<sup>5</sup>. Głęboki śnieg, po drodze zamieć. Za nami przybywają niemieccy żołnierze, którzy bezwzględnie przepychają się przez kolumny ludzi. Ciężko było utrzymać się razem. Mieliśmy niesympatyczną gospodynię, która nie chciała nam zagotować zupy czy zrobić kawy. Dzieci i starcy są już bardzo wyczerpani. W

gospodzie przebywają żołnierze armii Własowa, Tatarzy i Kirgizi. Kobiety boją się tam wejść.

Niedziela, 28 stycznia: Rosjanie Własowa są uprzejmi, rzucają mięso do wozów z dziećmi. Wymarsz w zawieję i śnieg o 13:00. Dostajemy tylko trochę kawy. Przybycie do Liebigen nocą o 23:00.

Poniedziałek, 29 stycznia: Postój całodniowy w Liebigen. Śniegu po pas i dalej pada. Konie już bardzo chude. Wieczór spędzony w Sali w gospodzie na bardzo brudnej słomie.

Wtorek, 30 stycznia: Konie wciąż bardzo wyczerpane. Dostają niewiele siana, żadnego prosa. Śnieg i lód utrudniają drogę. Również ludzie są wyczerpani i obojętni. Twardy, zamrożony chleb, rzadko kropelka kawy. Na ulicach wielka nędza. Przewrócone powozy, zdechłe zwierzęta, martwi ludzie, rozrzucony bez ładu dobytek. Nasza kolumna jakby cudem trzyma się razem – brak strat w ludziach i zwierzętach. Wieczorem nadają przemowę Hitlera. Większość już śpi.

Środa, 31 stycznia: Wymarsz o 8:00. Coraz więcej wojska, na ogół obdarci, część bez broni. Żołnierze Własowa za nami i między nami. Musimy bardzo uważać, żeby nasza kolumna się nie rozpadła. Panują dobre warunki, bo ludzie trzymają się razem i pomagają sobie nawzajem. Niektórzy mają odmrożenia na rękach i nogach, nic gorszego.

Pani Gronwald, która miała właśnie drugi udar, oraz sparaliżowana pani Herzog leżą w grubych pierzynach na ogumowanej przyczepie pani Reinicke. Ponieważ mają tylko pierzyny, ale żadnego zadaszania, są narażone na śnieg i lód, nawet jeśli idący z boku narzucają z powrotem spadające pierzyny.

Przybycie o 12:00 do miejscowości Żagań – tutaj opuszcza nas większość ewakuowanych, żeby w dalszą drogę udać się pociągiem do Berlina, również pani Roensch zabiera się samochodem Wehrmachtu.

Wieczorem o 22:00 przybycie do miejscowości Żary. Zatrzymujemy się na przedmieściach, które głównie zamieszkują robotnicy fizyczni. Kobiety są tam bardzo dobre. Same odbierają dzieci i starców z powozów, niosą ich do swoich łóżek i dają im coś ciepłego do jedzenia. Pozostali w budynku dawnego kina trochę się rozgrzewają i otrzymują nawet ciepłą kawę.

Przyprowadzają mi jakąś panią z Załęcza, która ma urodzić wcześniaka. Prowadzimy ją do gospodyni w tym samym domu. Gospodyni tam jest wzorcowa, przygotowuje łoże, udostępnia swoje najładniejsze serwetki jako pieluchy oraz koszyk i poduszki, idzie po starsze dzieci i bagaż tej młodej kobiety. Zanim przyszła wezwana pielęgniarka, dziecko przyszło już na świat.

Poprosiłam również w Czerwonym Krzyżu, żebym mogła zostawić obie chore panie, panią Gronwald i panią Herzog, w prowizorycznym szpitalu w budynku szkoły. Bardzo smutne pożegnanie.

Czwartek, 1 lutego: Wymarsz o 3 nad ranem w strugach deszczu. Okropna gołoledź. Przybycie o 10 do miejscowości Przewóz. Konie ledwo trzymają się na nogach przy takiej gołoledzi. Co chwila któryś się przewraca, lecz bez poważniejszych szkód.

Piątek, 2 luty: Wymarsz o 8 rano. Przybycie do Wehrkirch około godz. 5-6:00. Dni stają się coraz trudniejsze. Gdy przybywamy na miejsce, właśnie grzebią 8 dzieci z innej kolumny pieszej. Chłopi tutaj są uprzejmi, dają jedzenie ludziom i zwierzętom. Wreszcie można się przespać.

Sobota, 3 luty: Postój w miejscowości Wehrkirch. Wszyscy nam pomagają. Konie dostają siano i proso. My mamy możliwość, żeby się umyć i zdjąć buty. Dostajemy nawet dobrą, ciepłą zupę krupnik na mące.

Niedziela, 4 luty: Wymarsz o 8 rano, przez miejscowość Niesky do Lohse. Przybycie o 22:00. Po raz pierwszy przygotowane jedzenie, krupnik i mięso od Czerwonego Krzyża. Niestety niektórzy za dużo się najadają i pojawiają się bóle brzucha. Lekarz i pielęgniarka robią obchód. Gdzie trzeba zakładają świeże opatrunki i podają lekarstwa. Wiele dzieci ma gorączkę, również mój wnuk Dieter.

Poniedziałek, 5 luty: Wymarsz o 8:00. Zła pogoda. Dieter źle się czuje. Po południu ok. 14:00 przybywamy do Hoyerswerda. Muszę zaprowadzić Dietera do szpitala. Nie chcą go przyjąć z powodu przepełnienia. Wtedy zauważam Dr Schlanzky'ego ze Żmigrodu. On przejmuje dziecko, które jest całkowicie pozbawione sił i jeszcze boli go ślepa kiszka. Bardzo ciężkie rozstanie.

Wymarsz o 15:00. Przybycie pod wieczór do miejscowości Bernsdorf. Przydzielają nam prywatne kamery. Powozy pozostają na ogrodzonym placu, konie w szopach.

Wtorek, 6 luty: Wymarsz o 8:30 rano. Przybycie o godz. 13:00 do miejscowości Hermsdorf koło Ruhland. Po drodze nad nami często lotnictwo. Kwatera u żony rolnika. Wreszcie miejscowość, w której jest działający telefon. Telefon do Hoyerswerda. Dieter czuje się nie najgorzej.

Środa, 7 luty: Konie muszą mieć trochę spokoju, rozmowa telefoniczna z Dreznem. Po południu mój mąż odbiera mnie i Wilfrieda. Przekazuję mój powóz i woźnicę pani Bercie Sonnabend. Pożegnanie z towarzyszami niedoli i współmieszkańcami.

Czwartek, 8 luty: Kolumna pozostaje jeszcze 2 dni w Hermsdorf. My odbieramy naszego wnuka Dietera z Hoyerswerda do Drezna.

Sobota, 10 luty: Kolumna wyrusza rano o 8:00. Przybycie wieczorem ok. 19 do Liechtensee w powiecie Großenhain. Kolumna pozostaje tam aż do...

Piątku, 23 lutego: Wymarsz za Łabę. 8 dni w drodze. Kłopotliwa przeprawa przez górzysty teren, do którego nasze powozy się nie nadają, bo nie posiadają hamulców. Do tego ciągle ataki z powietrza. Sześć zaprzęgów musi zatrzymać się z powodu chorych koni w Lechtensee.

Piątek, 2 marca: Przybycie do Dürrengerbisdorf. Kolumna piesza ma ruszać dalej, ale znowu zaczyna padać śnieg i trzeba tu chwilowo zostać aż nadchodzi rozkaz, że wszystkie kolumny piesze mają w tym miejscu zatrzymać się na dłużej. Konie zabierają głównie polscy dorożkarze, pozostałe rzeczy oraz wozy biorą Rosjanie. Ci, którzy pozostali w Liechtensee

muszą wiele przecierpieć. W Dürrengerbisdorf jest o wiele lepiej, mimo wielkiego ostrzału. W międzyczasie ma miejsce pożar jednej ze stodół i 16 naszych dzielnych koni traci życie. A więc, nasza kolumna zatrzymuje się w okolicy Lipska...”

Więc tak one wyglądają, te kolumny ludzi, które kierują się na zachód, czy ze Śląska, czy z okolic rzeki Warty. Tak właśnie oni wyglądają. Siedzą skostniali na kobyłce, na wpół zamrznięci w śniegu, leżą na niezadaszonym powozie albo potykając się wycieńczeni zataczając jeden obok drugiego.

Z Wąsosza, który swoje prawa miejsce otrzymał 22 listopada 1290 roku, pochodzi raport burmistrza Schmidta:

„Gdy Rosjanie po raz pierwszy 23 października 1757 roku zniszczyli w czasie wojny siedmioletniej Wąsosz, miało to miejsce w czasie potyczek. Gdy pojawili się 22 stycznia 1945 roku w Wąsoszu ponownie, nie było już walk. Nie było żadnego niemieckiego żołnierza ani w mieście ani w jego okolicy. Miasto to zostaje bezsensownie zniszczone bez żadnego powodu...”

Nie tylko miasta są bezsensownie niszczone, co więcej: ludzkie życie. Ludzie umierają za przestępstwa, których nie popełnili; za winy, za które nie mogą, ale muszą ponosić odpowiedzialność, tylko i wyłącznie dlatego, że Sowieci akurat ich złapali.

W powiecie Góra pozostało niewielu ludzi, ze względu na rygorystyczne i surowe zarządzenie partyjne, które się do tego przyczyniły.

„No i co, Niemcy? Dlaczego nie zwialiście?” – pytają rosyjscy czołgiści pierwszej fali Alberta Scholza z Bogucina, który w Szklarach Górnych nie podjął dalszej ucieczki. „Powiedziałem, chociaż nie było to prawdą” – oświadczy później – „Przecież my nie boimy się Rosjan.” „Masz rację” – odpowiadają mu rosyjscy czołgiści i podają onieśmiałonemu Niemcowi rękę. Następnie pojawia się piechota...

W Starej Górze żołnierze piechoty przybywają już od dawna, lecz nie jako grupa bojowa, ale jako okupant, w czasie gdy ma miejsce to, o czym opowiada Elfriede C.:

„8 lutego moi rodzice po tym, jak podpalono nasz dom, zostali postrzeleni w plecy przez dwóch rosyjskich oficerów w trakcie opuszczania domu, a mój 75-letni ojciec jeszcze w okrutny sposób został całkowicie porąbany na kawałki. Przy czym muszę jeszcze nadmienić, że bezpośrednio po rozstrzelaniu zostałam przez jednego z morderców moich rodziców zgwałcona i opluta...”

Nienawiść, zbrodnie na bezbronnych, przerażenie i mordy nie kończyły się za bramami obozów koncentracyjnych. Stały się międzynarodowe i miały znamiona zarówno sowieckiej gwiazdy jak i trupiej czaszki SS. A mimo to, w tym chaosie, w tym tajfunie zniszczenia znajdują się ludzie, którzy potrafią postępować inaczej.

Pastor Dr Tillmann pozostał w Wąsoszu<sup>6</sup> w przytułku św. Józefa, ponieważ dla pielęgniarek opiekujących się 120 dziećmi polskich i rosyjskich kobiet pracujących na roli nie było miejsca w transporcie ewakuacyjnym. Pastor opowiada o tym krótkimi hasłami:

„Wdarcie się Rosjan. Miasto obozem armii. Ciągłe wizyty Rosjan w przytułku i typowe dla nich ekscesy w pierwszych dziesięciu dniach, po części obawa o życie moje i pozostałych Niemców. Wzorcowe zachowanie komendanta na podstawie oskarżenia o gwałt jedne z sanitariuszek: Aresztowanie sprawcy, posiedzeniu sądu wojennego i skazanie sprawcy...”

Takie wydarzenia miały miejsce w Wąsoszu<sup>7</sup> 23 stycznia 1945 roku.

---

<sup>1</sup> W niemieckiej administracji istniał inny podział na gminy, zwykle jedna wioska tworzyła odrębną jednostkę administracyjną.

<sup>2</sup> Linia Bartholda to rów przeciwzołgowy, który przebiegał wzdłuż przedwojennej granicy polsko-niemieckiej.

<sup>3</sup> Naczelnik gminy z ramienia NSDAP.

<sup>4</sup> Wówczas istniały trzy miejscowości Szklary Dolne, Szklary Środkowe (nie istnieją) i Szklary Górne. Nie wiadomo, o którą miejscowość chodzi. Obecnie Szklary Dolne i Szklary Górne leżą w powiecie polkowickim. (MŻ)

<sup>5</sup> W tekście zostały spolszczone wyłącznie nazwy miejscowości z terenu obecnej Polski.

<sup>6</sup> W oryginale autor podaje błędnie Górę.

<sup>7</sup> j.w.